

STENIA

Tak mówili o niej przyjaciele. Jerzy Waldorff napisał, że budziła trojaki uczucia: podziwu - talentem, lęku - temperamentem, oskomy - urodą. Rzeczywiście. Oczy jak węgle, przepastne. Burza czarnych włosów upinanych w fantazyjne koki. Wydatne usta, zgrabna figura i sarnie nogi. Czarne ubiory, wytworne futra. Czasem ciemne okulary o grubych szklach. Na estradzie - szczyt elegancji. Jako nastolatkę zachwycił mnie nie głos, lecz strój, gdy, pewnego wieczoru w Filharmonii przy ul. Jasnej właśnie otwartej po odbudowie, demonicznie piękna stanęła przed orkiestrą w sukni, której ciemny fiolet aksamitu spowijała jasno lila mgła. Śpiewała wtedy III Symfonię Szymanowskiego.

Witold Rowicki zaprosił mało komu znaną Stefanię Woytowicz na koncert w ramach obchodów 15. rocznicy śmierci Szymanowskiego w 1952 roku, jeszcze do Sali „Romy”, z rekomendacji jej profesorki, wybitnej niegdyś śpiewaczki Stani Zawadzkiej. Woytowicz przez wszystkie lata kariery pozostawała pod opieką wokalną prof. Zawadzkiej. Nic w jej życiu artystycznym nie działo się bez decyzji profesorki. Od tamtego czasu III Symfonia zrosła się z jej głosem. Śpiewała ją na I., III. i VI. „Warszawskiej Jesieni”, i rozmaitych uroczystych koncertach w kraju (m. in. na dziedzińcu wawelskim), w Brukseli na EXPO-58, w Berlinie pod batutą Rożdiestwińskiego, w Paryżu, na festiwalach w Montreux i w Perugii, w Melbourne i Sydney. Często brała też udział w wykonaniach Stabat Mater. Na płycie Polskich Nagrań jej głos w solowej frazie sopranu w finale szóstej części „Chrystus niech mi będzie grodem” - najpiękniejszej melodii, jaką Szymanowski stworzył - wznosi się na wyżyny artyzmu. Jan Krenz powiedział: Szymanowski bez niej nie istnieje. W 1998 r. otrzymała nagrodę Fundacji im. K. Szymanowskiego za „stworzenie indywidualnego stylu wykonawczego w zakresie dzieł oratoryjno-kantatowych”.

Ewa Szczecińska w żegnając śpiewaczkę (zmarła w 2005 roku w wieku 82 lat) na łamach „Tygodnika Powszechnego”, za istotną cechę jej interpretacji uznała stan między histerią a ekstazą. Do Szymanowskiego pasowało to świetnie. Ale miłością Woytowicz był Bach. W 1950 roku wygrała Ogólnopolski Międzyszkolny Konkurs Bachowski w Poznaniu zorganizowany w 200. tną rocznicę śmierci lipskiego kantora. Doceniono ją też na Międzynarodowym Konkursie Bachowskim w Lipsku. W swej wokalnej młodości stale więc sięgała po Bacha. W Polsce rodziła się właśnie moda na Bacha. Na koncertach w Filharmonii Narodowej brzmiał monumentalnie, dostojnie. Śpiew Woytowicz silnie wrył mi się w pamięć w Pasji Mateuszowej. Obie z Krystyną Szczepańską nieomal utożsamiły się nie tylko w mej świadomości ze stylem Bacha. Wywierały wrażenie. Aż tu po jednym z takich „bachów” Jan Weber na łamach „Kultury” skrytykował dwie gwiazdy. Wzburzył środowiskowe opinie, lecz i skłonił do refleksji. Może Bacha należałoby śpiewać inaczej? Technika wokalna Stefanii Woytowicz polegała na płynnym łączeniu dźwięku z dźwiękiem. Czyniło to spoistym jej legato i wzmagало ekspresję, jednak nie raz zaburzało

intonację, no i, co tu kryć, odstawało od poczucia stylu. Ale to, co raziło polskiego krytyka, oddziało na wyobraźnię kompozytorów. Pierwszy zwrócił się do artystki Tadeusz Baird z pytaniem, czy zechce zaśpiewać jego pieśni? Erotyki, prawykonane na „Warszawskiej Jesieni” w 1961 roku, obiegły potem, razem z Woytowicz, ważne estrady koncertowe świata. Krzysztof Penderecki, wrażliwy jak mało kto na barwy i możliwości ludzkiego głosu, tworząc, słyszał jej śpiew. W partyturze Pasji wg św. Łukasza przy zapisie partii sopranowej widnieją małe strzałki, kierowane to w górę, to w dół. Stefania Woytowicz te mikrotony realizowała w sposób nieporównany. Począwszy od prawykonania w Mü(1966) wystąpiła w Pasji razy na całym świecie! Do niej też należały pierwsze wykonania obu części Jutrznii Te Deum, nie mówiąc o występach w Kosmogonii Dies irae - ten utwór uhonorowano ją nagrodą „„,

Stała się artystką tych festiwali. Na „Warszawskiej Jesieni” w 1977 roku, wystąpiła trzy razy! W Śpiewach polskich Meyera, i w pierwszym po latach wymuszonej nieobecności na polskich estradach dziele Panufnika czyli Universal Prayer - śpiewała to nadzwyczajnie, w Sali Koncertowej Akademii Muzycznej im. F. Chopina w Warszawie, najbardziej widoczna w swej ulubionej czerni na tle innych solistów kwartetu, chóru i harf. I na tym samym festiwalu dała jeszcze polskie prawykonanie (po premierowym w Royan, też z jej udziałem) Symfonii pieśni żałobnych Henryka M. Góreckiego. Wychodziliśmy po tym wieczorze oszołomieni. Publiczność długo nie opuszczała hallu Filharmonii dzieląc się wrażeniami. Zygmunt Mycielski na łamach



Stefania Woytowicz

©A. Rejzack

„Ruchu Muzycznego” złożył hołd jej sztuce. Po kilkunastu latach (i po tym, jak Górecki Symfonią podbił świat) na tej samej estradzie przy Jasnej powróciła do tego dzieła. Słuchając, brakło mi niegdyśszej ekscytacji, jednak śpiewaczka znów poruszyła siłą emocjonalnego przeżycia, zawsze tak bardzo u niej osobistego.

Uczestniczyła w kilku premierach utworów Góreckiego: Ad Matrem, II Symfonii „Kopernikowskiej”, O Domina nostra. Dokonała prawykonania kompozycji Łuciuka, Szabelskiego i starszego o lat 23 (!) rodzonego brata-kompozytora Bolesława Woytowicza. Akiedy w latach 1980. w proteście przeciw wprowadzeniu stanu wojennego na dziewięć lat wycofała się z publicznego życia muzycznego, w kościołach śpiewała nadal nowe, niejednokrotnie dla niej pisane utwory: Ryszarda Bukowskiego, Jana Maklakiewicza, Kurylewicza, Nikodemowicza. Witold Lutosławski rzekł, że nikt jak ona nie śpiewa jego Lacrimosy. Podziwiał też, iż miała odwagę na tak długo przerwać karierę. Podobne uznanie, dla siły charakteru nieczęstej w przypadku artystów, wyraził Tadeusz Strugała. Poznawała wówczas Polskę. Była pierwszą solistką dopuszczoną do występu w słynnej katedrze gnieźnieńskiej. W Białymstoku, gdy w kościele farnym śpiewała pieśni maryjne różnych epok, zebrało się blisko 6 tysięcy osób.

Bez reszty dała się porwać ideom „Solidarności”. Stała pod bramą Stoczni Gdańskiej w czasie strajków. Ze spotkań artystycznych elit stolicy w tzw. „Salonie Stefanii Woytowicz” organizowanych przez nią w Sali Gotyckiej Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego (prezesem tej organizacji pozostawała piętnaście lat, 1977-1992) zrodziła się późniejsza Komisja Porozumień Twórczych. Działała w warszawskim Duszpasterstwie Środowisk Twórczych. Śpiewała na Mszach za ojczyznę odprawianych przez ks. Jerzego Popiełuszkę w żoliborskim kościele św. Stanisława Kostki. Była w Warszawskim Komitecie Społecznym przy Sztacie Wyborczym Lecha Wałęsy. Wcześniej, jeszcze u szczytu sławy, poproszona o śpiew na Mszy za spokój duszy Stanisława Pyjasa zamordowanego przez UB, stawiała się 13 stycznia 1978 roku w Krakowie w kościele Norbertanek. Koncelebrował kardynał Karol Wojtyła. Kiedy w 1985 roku wraz z delegacją aktorów pojechała na papieską audiencję do Watykanu, Jan Paweł II przypomniał jej tamtą chwilę.

Zawsze zajmowała ją sprawa publiczna. Należała - razem ze swą profesorką, Stani Zawadzką - do członków założycieli Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków; w czerwcu 1956 roku uczestniczyła w pierwszym organizacyjnym zjeździe, zasiadła przy stole prezydialnym, znalazła się w zarządzie Sekcji I (solistów, dyrygentów i reżyserów dźwięku), później wybrano ją na skarbnika Zarządu Głównego, a wreszcie wiceprezesa (do 1975 roku). Nie były to czcze funkcje. Chodziła na rozmaite spotkania, podpisywała memoriały, należała do grup walczących o emerytury twórcze, ochronę praw artystów wykonawców, uznanie chorób zawodowych muzyków, teren dla Domu Muzyka Seniora. Trudno zliczyć jej inicjatywy jako prezesa WTM. Dość rzec, że niemal wywojowała Pałac Sapiehów przy ul. Zakroczymskiej (sąsiadujący z Biblioteką WTM) na siedzibę Centrum Kultury Muzycznej i Muzeum Muzyki Polskiej. Bywała pomocna młodym. Jadwiga Rappe mówi, iż to jej zawdzięcza start do kariery. Usłyszawszy Rappe podczas audycji w Pagarcie, Woytowicz orzekła, że powinna wziąć udział w Konkursie Bachowskim w Lipsku w 1980 roku. Urządziła dodatkowe przesłuchanie, wywarła wpływ na pomyślny rezultat kwalifikacji,



Stefania Woytowicz

© J. Maltarowski

sama pojechała do Lipska, a nawet pożyczła pieniądze. Jadwiga Rappe uzyskała wówczas w Lipsku I nagrodę.

Jej własna kariera była jedną z najdziwniejszych w dziejach powojennej wokalistyki polskiej. Nigdy nie związała się zawodowo z żadną instytucją. Nie podjęła pracy pedagogicznej. Nie śpiewała na scenie operowej. Pytana o powody, odpowiadała: „Nie umiem grać! Nie udaję łagodnej, kiedy mnie diabli biorą, gwałtownie reaguję”. Podczas występów w Ameryce otrzymała propozycję z Metropolitan Opera i wzbudziła osłupienie mówiąc, że jej to nie interesuje. Operowe płyty wynikły z kontraktu, jaki zawarła z nią firma DGG. W 1961 roku nagrała *Toskę* (z Kimem Borgiem jako Scarpia), w 1962 - *Moc przeznaczenia* (z Dietrichem Fischer-Dieskauem). Jediną rolę operową zagrała w sfilmowanej dla niemieckiej telewizji *Dafne* Straussa (1964) - chwalono jej aktorstwo. Projekty telewizyjnego *Juliusza Cezara* z nią w roli Kleopatry nie zostały chyba zrealizowane. Z okazji obchodów 100. rocznicy śmierci Stanisława Moniuszki nagrała jeszcze *Halkę* z Jerzym Semkowem (kolegą z lat studiów muzycznych w Krakowie). Płyta ta, na licencji Polskich Nagrań, ukazała się w wersji CD w katalogu Harmonii mundi (1987), i z kreacją Woytowicz uważam ją za najlepszą płytową *Halkę*.

Poza tym uprawiała muzykę, w której nie była primadonną. W oratoriach, kantatach, pasjach, mszach, wielkich pieśniach (*Szecherezada* Ravela) stawała na estradzie razem z tłumem innych wykonawców. Recitali właściwie nie lubiła. Z repertuarem mało popularnym, gdyż w lwiej części polskim, i w sporej - współczesnym, w kulminacyjnych dla jej kariery latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, miewała rocznie po 40 zagranicznych koncertów, przeważnie indywidualnych, głównie na Zachodzie. Czyli tak, jakby żyjąc w PRL, paszport trzymała w domu. Jej tournée po Australii (1966) obejmowało Singapur, Hong Kong, Nową Zelandię i Bombaj; trwało pięć miesięcy. Dała 55 koncertów, w tym symfoniczne i recitale pieśni polskich i obcych o pięciu różnych programach; przy fortepianie towarzyszył jej Geoffrey Parsons. Tak intensywną koncertową działalność zawdzięczała trzem agencjom: impresariatowi amerykańskiej „ów londyńskich. Była przez nich umieszczana w rankingu sześciu największych artystów świata. Już w 1976 roku mówiła: „osiągnęłam co chciałam”

A wszystko zaczęło się wtedy, gdy Kresowianka spod Kamieńca Podolskiego, dziewczyna z Muzykalnowo Uczyliszcza w Brześciu Litewskim, potem studentka krakowskiej PWSM w klasie Stani Zawadzkiej, po dyplomie i paru koncertach w kraju, wygrała w 1954 roku Międzynarodowy Konkurs Śpiewaczy w Pradze. Wzbudziła ogromne zainteresowanie. Na występie w Wiedniu (1955) olśniła krytyka „Der Abend”, a podczas następnych wizyt w tym mieście - jednej z europejskich stolic muzyki - to olśnienie potrafiła utwierdzić. Po wykonaniu *Iluminacji* Brittena na „Praskiej Wiośnie” w 1959 roku pochwyliły ją wspomniane impresariaty, napłynęły zaproszenia od Karajana, i od Claudia Abbado, z którym w La Scali zaśpiewała w II *Symfonii* Mahlera.

W *Iluminacjach* wystąpiła ponad 80 razy, w tym pod batutą kompozytora, który cenił wysoko jej interpretację. Brittenowi zależało także, by śpiewała w jego Requiem wojennym. Tak się stało: w 1969 roku w londyńskim Royal Albert Hall, pod dyрекcją Giuliniego. Brytyjscy krytycy zachłystywali się jej głosem: „cudownie jedwabisty sopran”, „intensywność odczucia i wokalnego

piękna śpiewu” pisali („Time’s”, „The Guardian”).

Jej życie osobiste widoczne było jak na dłoni. Mąż należał do najprzystojniejszych mężczyzn krążących po Filharmonii. Wysoki, szczupły, w marynarkach brytyjskiego kroju. Z nieodłączną fajeczką. Wybitny neurochirurg, Stanisław Rudnicki. Kiedy w telewizyjnym dokumencie Śpiewać - żyć z pasją (TVP 1991, scenariusz i reżyseria Beta Gliszczyńska) podczas filmowanej wspólnej herbaty dr Rudnicki pyka z fajeczki, żona Stefania niecierpliwym ruchem odgania (sprzed cennego gardła) mężowski dym. Odszedł na długo przed nią.

Henryk Czyż będąc dyrektorem Filharmonii Łódzkiej z myślą o niej układał program sezonu. Robiła awantury przed koncertem (a język miała, oględnie pisząc, niewyparzony) - ze strachu, że zachrypnie, że nie „zbuduje dźwięku” (tak to określała) stając twarz w twarz z publicznością, i po koncercie, z rozpaczą, że w audytorium widniały puste krzesła. Jan Krenz powiedział, że muzyka była dla niej sprawą życia i śmierci. Było to słychać w jej głosie. I w śpiewie. Czy się komuś podobał, czy nie - pozostaje niezapomniany.



© *Małgorzata Komorowska*
maestro@maestro.hb.pl